

## Szamańskie safari

Autor tekstu: **Witold Stanisław Michałowski**

U stóp skalnego zbocza, do którego przytuliły się izbuszki, centralne miejsce zajmowała nieduża, ozdobiona paskami wypłowiałej materii wotywnymi chatykami grota. Przed nią było gorące źródło. Jesienią, gdy dni stają się coraz chłodniejsze, buchał z niego słup pary. To tą grotę lamowie wskazali najprawdopodobniej Ossendowskiemu jako Wrota Agharty. U wejścia do niej opartą o kamienie leżała większa ilość drewnianych tabliczek różnej wielkości. Upamiętniała tych co tu dotarli. Jedna dotyczyła pobytu tu w 1903 roku wybitnego rewolucjonisty Feliksa Kona.



Autor u Wrót Agharty

Wyjazd nastąpił przed świtem. Krąg rozstawionych na wysokim brzegu Jenisieju jurt prawie natychmiast zatonął w porannych mgłach. Siąpił deszcz. Zimno. Z głów niezupełnie jeszcze wywietrzała wypity poprzedniego wieczora alkohol. Byliśmy gośćmi wnuka Kozieł Poklewskiego właściciela firmy turystycznej PARADISE z Krasnojarska. Firma ma swoją stronę internetową również w językach angielskim i niemieckim Organizuje ekskluzywne foto-safari w japońskich landrowerach poprzez Tuwe, Kraj Ałtajski i Stepy Minusinskie. Dziadek uznawany był w carskiej Rosji za jednego z najbogatszych ludzi. Dorobił się na dostawach podkładów do szyn na budowie transsyberyjskiej magistrali kolejowej. Wnuk jak twierdzi był klubowym kolegą niejakiego Bykowa, właściciela Norylsk, Nikel, który dostarczył niezbędne fundusze na rozkręcenie interesu.

Zagraniczni turyści mieli możliwość odwiedzenia miejsca zesłania Lenina w Szuszenskoje, opuszczonego łagru, zagrodowej hodowli jeleni, kopalni złota, i spotkać się z szamanami. Dwa tygodnie za 1500 dolarów plus koszty biletów lotniczych. Klientów firma PARADISE nie miała zbyt wielu. Najwidoczniej szwankował marketing. Tego, że być może założono ją w zupełnie innym celu zaczęliśmy domyślać się nieco później. Przedstawieni właścicielowi w czasie trwania Nadoomu przez pewną wpływową osobistość z kręgów bliskich prezydentowi Tuwy zostaliśmy zaproszeni na występy szamanów w ośrodku turystycznym poza miastem. Musiał kosztować sporo. Nowiutkie jak spod igły jurty stojące na drewnianych podestach z dopasowanych lakierowanych desek, wyposażone w światło elektryczne, lodówki, klimatyzatory i puchowe kołdry. Kuchnia dla młodych tygrysów. Jagnięta baranie, świeża konina, pstrągi i miejscowa odmiana łososia. Czarny, czerwony i biały kawior. Stepowa prostota

Na przypadające dokładnie w połowie sierpnia uroczystości obchodów republikańskiego święta do Kyzyl zjechali się zawodnicy z całej Tuwy. W ramach lokalnej olimpiady zwanej NAADAM rozgrywano konkurencje w strzelaniu z łuku, zapasy, wyścigi konne. Przewidziane też były występy unikalnych w skali światowej śpiewających dwoma głosami artystów, konkursy na najpiękniej ozdobioną jurkę, najpiękniejszą dziewczynę, najściglejszego konia i najlepszą regionalną potrawę. Inauguracja odbywała się przy udziale prezydenta Oorżaka oraz paru czcigodnie wyglądających buddyjskich lamów. Duchowni prawosławni jej swoją obecnością nie zaszczycili.

Szamanów spotkaliśmy dopiero wieczorem. Zaproszono ich z całej południowej Syberii, z Jakucji, Buriacji, Kraju Ałtajskiego. Na prośbę właściciela studio fotograficznego z Nowosybirsk organizowano sesję zdjęciową. Ułożone w nieduży stos cedrowe kłody usiłował bezskutecznie zapalić jegomość znajdujący się w stanie wyraźnie wskazującym. Ubrany był w ozdobiony piórami drapieżnych ptaków kołpak, długą, jedwabną, ciemnowisnawą szatę obwieszoną różnego kształtu metalowymi blaszkami i wysokie do kolan buty bez obcasów z zadartymi do góry czubami. Podobnych nieznacznie różniących się elementami brzęczącego wyposażenia przebierańców różnej płci w sumie było coś około dziesięciu. Każda z postaci trzymała w rękach jednostronnie obciążony skórą bęben i krótką drewnianą rozszerzającą się na końcu obciążoną kawałkiem wilczego futra pałkę. Nieco z boku wzniesiono parometrowej wysokości konstrukcje z drągów naśladującą szkielet namiotu typczy jak na Syberii nazywają czumy. Do drągów przytwierdzono na różnych wysokościach powiewające na wietrze wąskie niebieskie, żółte i białe wstążeczki. Gdy nareszcie udało się ogień rozniecić postaci przykucnęły przy nim intonując monotonną pieśń i podgrzewając jednocześnie bębny. Trwało to dość długo. W którymś momencie dało się zauważyć, że do wtóru rytmicznych uderzeń prostując się i pochylając na lekko ugiętych nogach szamani zaczęli krążyć. Stąpali po ziemi jak gdyby bojąc się oderwania od niej stóp. Widowisko nabierało tempa. Coraz głośniejszy był wybijany na bębnach rytm. Coraz energiczniejsze były podskoki i przytupy. Coraz donośniejsze okrzyki i gwałtowniejsze potrząsanie i uderzenia. Wrażenie nijakie. Tańce tatrzańskich górali z cepeliowskich zespołów są dużo bardziej ekspresyjne. Fotograf szalał. Parę godzin później już po zaciśnięciu braterskich więzi na wschodnio słowiański sposób i przypomnieniu sobie o polskich korzeniach poinformował, że miał zamówienie jakiegoś amerykańskiego magazynu na fotoreportaż o obrzędach szamańskich. Musiał jak twierdził „wyrwać duszę” z fotografowanych obiektów. Wyrwał ją przy pomocy najróżniejszych aparatów i obiektywów, wchodzenia w magiczny krąg poruszający się w rytm łoskotu bębnów, pełzaniu po ziemi i zagładaniu do niczego już nie widzących źrenic bohaterów spektaklu. W jakiś czas po jego rozpoczęciu okazało się, że jest jeszcze ktoś, kto w nim uczestniczy, cały przebieg obserwując niezwykle dokładnie. Tym kimś była elegancko ubrana w kolonialny trencz dama pachnąca dobrymi francuskimi perfumami w wieku... balzakowskim. Starannie cały czas coś notując nagrywała jednocześnie odgłosy bębnów i zawodzenia szamanów na nieduży japoński magnetofon.

Pani doktor Walentina Charitonowa była pracownikiem naukowym Instytutu Etnologii i Antropologii im. Mikłucho-Makłaja z Moskwy. Wymieniając bilety wizytowe otrzymuję zaproszenie na Międzynarodowe Sympozjum „Ecology and Traditional Religico-Magical Knowledge”. Już po powrocie do Michalina pocztą e-mailową otrzymałem program zawierający podstawowe informacje o wysokości dolarowego wpisowego, warunkach technicznych przygotowania tekstów do publikacji oraz krótki list. Współorganizatorami praktyczno-naukowych seminariów był Chakański Instytut Badawczy Języka, Literatury i Historii z Abakanu, Muzeum Historii Naturalnej im. Sześćdziesięciu Bogatyrów z Kyzyl, Syberyjski Oddział Instytutu Badawczego Zjawisk Patologii i Ekologii Rosyjskiej Akademii Nauk z Nowosybirsk. Niezbędny sprzęt i wyposażenie do prac badawczych zapewniał Instytut High Nerve Activity and Neurophysiology Rosyjskiej Akademii Nauk i Biuro Projektowe ELEKTRON z Moskwy oraz zakłady ŚWIATŁO-2 z Ufy. Poza informacjami o ostatnich publikacjach i Międzynarodowych Kongresach poświęconych szamanizmowi, jakie się ostatnio odbywały we Włoszech i Australii, zostałem powiadomiony, że w czasie trwania Sympozjum będą zaprezentowane na przykładach metody kontroli stanu świadomości osób poddawanych eksperymentom „by religico-magical practitioners”. Korespondencja odbywała się w języku angielskim. Miano również pokazać zastosowania najnowszych wersji specjalnego sprzętu. Zaznaczono, że jest on już opatentowany w Stanach Zjednoczonych i Rosji. Miał umożliwiać badanie i pomiary efektów uzyskiwanych przez szamańskich „czarowników” i ludzi z nadzwyczajnymi umiejętnościami.

Obrzędy, których byłem świadkiem w jurtowej turbazie wnuka Kozieł Poklewskiego powtórzono następnego dnia o wschodzie słońca w innym miejscu. Tym razem była to skalna

ostroga z niedużą powierzchnią na samym wierzchołku, z której było widać płynący w dole Jenisiej i teren, na którym odbywały się zawody naadamu. Podobnie, jak i wieczorem poprzedniego dnia główną rolę odgrywała szamanka Ajczurek. Jej imię oznacza KSIĘŻYC.

Jako przedstawicielka CENTRO STUDIO SCIAMANICO SIBERIANI uczestniczyła w międzynarodowej konferencji w Turynie we Włoszech. Przystojna, pewna siebie kobieta w nieokreślonym wieku, oficjalnie urzędująca w drewnianym budynku przy bulwarze, o ile pamiętam, Kosmonautów, nieopodal pomnika Centrum Azji w Kyzyl. Budynek pilnowała milicja i cywilni agenci.

O świtaniu przy zacinającym deszczu i dość silnym wietrze rozpalanie ogniska trwało wyjątkowo długo. Bębny rozgrzewały się prawie wieczność. Po co najmniej godzinie, gdy poczułem się już zupełnie przemoknięty, zacząłem czuć coraz większe zniechęcenie do dalszego asystowania niezrozumiałym ceremoniom. Schowałem kamerę do pokrowca i postanowiłem się rozgrzać zwiedzając otoczenie. Za czymś w rodzaju drewnianej bramy, która stanowiły dwa wbite w ziemię pionowo pale z poprzeczną żerdzią szamani złożyli swój ekwipunek i różnego rodzaju wyposażenie. Uwagę przykuwał stary bęben. Wspaniały okaz. Takiego jeszcze nie widziałem w żadnym ze zwiedzanych muzeów etnograficznych. Postanowiłem go sfilmować. W tym celu musiałem go wziąć do ręki, aby ustawić bardziej fotogenicznie. Nie zdążyłem podnieść obiektywu kamery do oka gdy poczułem silny cios w kark. Natychmiast bęben wypuściłem z ręki. Kątem oka dostrzegam, że uderzającą była zupełnie młoda dziewczyna, prawdopodobnie dopiero praktykująca szamańskie rzemiosło.

Nosiła niebieską, mongolskiego kroju jedwabną deli. Jej blada z wściekłości słowiańska o dziwo twarz wyrażała coś, co można by śmiało nazwać płomiennym oburzeniem. Przeprosiłem, ale chcąc przywrócić bębnowi pierwotne położenie, gdy sięgnąłem w jego kierunku ręką, zarobiłem jeszcze raz. Gołą ręką. Równie mocno. Z jeszcze większą wściekłością. Incydent miał miejsce na otwartej przestrzeni. Dosłownie o paręnaście kroków od płonącego ogniska, tańczących wokół szamanów i garstki widzów. Nikt nie zareagował. Tylko w oczach Ajczurek wydawało się, że dostrzegam groźny błysk. Moją pogromczynię niespodziewanie uspokaja dźwięk języka polskiego. Mówiła nim jej babka z domu Bazylewska. Była znachorką na Polesiu. Dużo lepszą niż matka. Jej umiejętności niedawno badał „trudopersonalnyj psychołog” Stanisław Grott z Kalifornii. Też mówił po polsku.

Największym autorytetem w dziedzinie szamanizmu jest w Tuwie posiadacz wyższego stopnia naukowego leningradzkiego uniwersytetu profesor Mongusz Kenin Łobsan. Ma swój gabinet w gmachu Muzeum. Każdy może się z nim zobaczyć pod warunkiem zapłacenia 10 dolarów za konsultacje. Przepowiada przyszłość. Doradza w sprawach sercowych i zdrowotnych. Biznesem się nie zajmuje. W wydanej parę lat temu książce AŁGYSZI (Pieśni) TUWIŃSKICH SZAMANÓW zamieścił w angielskim oryginale pismo Dr. Michaela Harnera, prezesa THE FOUNDATION FOR SHAMANIC STUDIES, przyznające mu status ŻYWEGO SKARBU SZAMANIZMU i roczne stypendium na pobyt w Stanach Zjednoczonych. Tego rodzaju stypendiów upamiętniających pamięć Heimo Lappalainen, sądząc po nazwisku Fina, który współpracował z rządem Republiki Tuwa w imieniu Fundacji .

Zawsze odnosiłem się z dużym dystansem do zjawisk nadprzyrodzonych. Do latania na miotłach, bębnach i pogrzebaczach, chodzenia po wodzie czy operacji ślepej kiszki gołymi rękami bez rozcinania brzucha. Relacjonując wydarzenie, w którym uczestniczyłem przeszło 7 tys. kilometrów na wschód staram się eliminować wszelkiego rodzaju emocje i przymiotniki.

Pod wieczór, gdy wróciłem do mieszkania znajomej redaktor naczelnej tuwińskiej gazety INFORM PLUS, gdzie udzielono nam gościny, poczułem się źle. Nawet bardzo źle. Do już prawie nieprzytomnego pogotowie przyjechało po upływie doby. Wiadomo święto państwowe. Mało brakowało, że za późno. Lekarki badając delikwenta na odległość orzekły, że mam różę i to w wysoce groźnej i zaraźliwej odmianie. Zaleciły końską dawkę antybiotyku i jakieś witaminy. Wypisały recepty. Poradziły też, aby sprowadzić ...Ajczurek. Skądś wiedziały o incydencie. Mój towarzysz sprawę potraktował poważnie. Udał się na bulwar Kosmonautów. Ajczurek odmówiła. Stwierdziła tylko, że już swoje odcierpiałem i żebym teraz tylko bał się o rodzinę. Było to 19 sierpnia. Tę datę zawierają recepty. O tym, co się stało tego samego dnia w podwarszawskim Michalinie, gdzie została żona z córkami, dowiedziałem się dopiero półtora miesiąca później, telefonując z Moskwy. Nasz dom został spalony. Uderzył weń piorun kulisty. W akcji ratowniczej uczestniczyło 7 jednostek straży pożarnej. Z Wawra, Otwocka, Józefowa, które w rejestrze wyjazdów interwencyjnych odnotowały datę...19 sierpnia. W tym miejscu muszę pozwolić sobie na kolejną dygresję. Jeden z moich czeczeńskich przyjaciół, za którego

poręczałem u polskich władz, ponieważ miał trudności z uzyskaniem statusu uchodźcy, jako były oficer MWD Federacji Rosyjskiej, gdy mu relacjonowałem przebieg spotkania z szamanami, opowiedział pewne wydarzenie.

Było to jeszcze za istnienia ZSRR, gdzieś za Sajanami, w rejonie, który wówczas należał do zamkniętych, nie tylko dla zagranicznych turystów, ale i dla większości radzieckich obywateli. Jako dowódca oddziału wojsk wewnętrznych ochraniał i, jak się później sam przyznał, „neutralizował” ekipy eksperymentatorów przeprowadzających dziwaczne polowe doświadczenia. Dysponowali dostarczonym w zamkniętych kontenerach terenowymi ułazami z zakładów w Ufie, bez numerów rejestracyjnych. Technicy montowali na nich paraboliczne metalowe anteny i podłączali je do generatorów urządzeń napędzanych przez silniki pojazdów. Zadanie mieli dość trudne. Nocami niezauważeni przez mieszkańców, dość rzadko rozrzuconych w tej części Południowej Syberii wsi, musieli zająć stanowiska odległe od najbliższych domów co najmniej na strzał snajperskiej broni przeciwpancernej. Na około dwa kilometry. Zarządzał wówczas wycofanie do tyłu podkomendnych.

Technicy wówczas uruchamiali generator starając się nakierować paraboliczną antenę mniej więcej na środek wsi czy aułu. Dalszy przebieg wydarzeń obserwował w okularach wojskowej lornetki, leżąc z resztą oddziału ochrony co najmniej pół kilometra z tyłu. Po mniej więcej dwóch kwadransach w osadzie dawała się zaobserwować wyraźna nerwowość poruszających się ludzi. Ich głosy nie dobiegały tak daleko, ale można się było domyśleć, po gwałtownej gestykulacji i szybkości ruchów, że coś ich bardzo zaniepokoiło.

Po dalszym kwadransie pracy generatora sytuacja ulegała do pewnego stopnia polaryzacji. Ludzkie figurki zaczynały ze sobą walczyć, biegać dookoła domów gwałtownie wymachując rękami, podpalać samochody. Były też takie, które oddawały się miłości. Jak najbardziej dosłownie. Pary doskonale widoczne w 6 czy 8 krotnym zbliżeniu lunet kładły się obok siebie i na sobie, kucąły i kłękały w zupełnie jednoznacznych celach. Publicznie. W biały dzień, na środku drogi, na podwórkach. Głośno ujadały i wyły psy. Gdy wyłączano generator wszystko wracało do normy.

Najwięcej problemów dostarczał personel obsługujący urządzenia po zakończeniu eksperymentów. Jako dowódca ochrony był odpowiedzialny za dopilnowanie, aby wszyscy co do jednego wsiadali do wielkiego, hermetycznego, ciemnozielonego kontenera bez okien i bez wewnętrznych klamek, wożonego na trójosiowym kamazie. Miał go wówczas plombować i przekazać innemu oddziałowi MWD, który po jakimś czasie nadjeżdżał. I tu bywały problemy. Nie u wszystkich obsługujących ułazy z parabolicznymi antenami wyposażenie kontenera wzbudzało zaufanie. Szczególnie podłączone do niego zbiorniki z jakimś gazem. Nie chcieli do niego wsiadać. Rozbiegali się. Musiał ich likwidować. Zmobilizowani naukowcy z Moskwy czy Leningradu uciec daleko w step czy tajgę szans nie mieli żadnych. Dlatego do tego zadania skierowano właśnie mego rozmówcę. Miał bardzo piękną bojową kartę z Afganistanu. Czeczeńcy zawsze wzorowo wykonują rozkazy. Niektóre z przyjemnością.

Mój niezbyt odległy sąsiad z Anina, profesor Mirosław Dakowski, zanim jeszcze stał się tropicielem sławetnej afery FOZZ studiował fizykę w ZSRR. Tam uzyskał wyższy stopień naukowy i został kandydatem na pierwszego polskiego kosmonautę. Poznał też wielu uczonych z „jaszczyków” psychotronicznych. W pewnych warunkach niektórzy z nich byli rozmowni. Profesor uważa, że coraz większa część budżetów wojskowych światowych potęg przeznaczona jest na doskonalenie już posiadanej wiedzy na temat nowych rodzajów broni. Biologicznej, psychotronicznej i tektonicznej w pierwszej kolejności. Przykładem może być ujawniony w USA na początku lat dziewięćdziesiątych rządowy MIND CONTROL PROGRAM zwany Monarch Projekt. Przykład świadka o nazwisku Paul Bonacci, któremu dano nie mniej nie więcej tylko 14 nowych i odrębnych osobowości może być jednym z wielu ujawnionych przez środki masowego przekazu. Nie jest tajemnicą, że tajne laboratoria broni psychotronicznej, której początki zastosowań sięgają w niewiarygodnie odległą przeszłość, korzystają z doświadczeń kapłanów prastarej, panującej w Himalajach religii bon, tybetańskich lamów i szamanów z Syberii. Ci ostatni zaś uważają, że prakolebką, praźródłem i pramatką wszystkich religii świata jest obszar Ałtaju i przyległej do niego żywej kotliny pomiędzy Sajanami, Ułan Tajgą i górami Tannu Oła, czyli terytorium dzisiejszej Republiki Tuwa.

„Latanie na bębnach” szamanów pod warunkiem, że się oczywiście nie traktuje tego dosłownie jest równie, a może nawet bardziej dokładnie dowiedzione, jak lewitacje w niektórych stanach świadomości czy religijnej ekstazy. Na użycie sił szamanów i różnego rodzaju indywiduów posługujących się „tajemnymi mocami”, których dziś byśmy prawdopodobnie nazywali psychotronicami przez kręgi władzy, tak Rosji bolszewickiej jak i

hitlerowskich Niemiec, wskazuje szereg dokumentów i świadectw. Ich przeciwnicy też usiłowali nadrobić zaległości w tych dziedzinach. Zainteresowanych kieruję do książki A.K. Gurtowej i J.W. Winokurowa: PSYCHOTRONNAJA WOJNA.

\*

Wojciecha Grzelaka poznałem dzięki tragedii. Byłem ongiś prezesem Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich z Warszawy. Musiałem wówczas parokrotnie wyjaśniać dziennikarzom Sztandaru Młodych i innych mediów okresu wczesnego Gierka jak mogło dojść do „zaginięcia” paru naszych kolegów w Bieszczadach. Było to trochę tak jak z informacjami Radia Erewań o rozdawaniu rowerów na Placu Czerwonym.

Zimą dwaj bracia K. oraz Wiesiek S. wyszli ze schroniska w Ustrzykach Górnych na nartach na Halicz. Śnieżna zamieć zmiotła ich na stronę „worka”. Jeden złamał nartę. Zanocowali w opuszczonej baczce. Postąpili właściwie. W schronisku, gdzie zostały ich plecaki, podniesiono alarm. Przyszli umordowani wieczorem następnego dnia. Odwalili szmat drogi w kopnym śniegu. Zainteresowani niech przestudiują mapę. Prasa miała co pisać. To było tak dawno. Nigdy nie przypuszczałem, że ubiegłoroczne komunikaty PAP o zaginięciu w Ałtaju dwóch Polaków mogą mieć coś wspólnego z tamtym wydarzeniem. Niestety miały. Ojcem jednego z zaginionych był uczestnik narciarskiej wyprawy do bieszczadzkiego „worka”. Próbując odtworzyć wszystkie okoliczności jakie towarzyszyły dramatowi na zboczach Bieluchy trafiłem na Wojtka Grzelaka, polskiego biznesmena mieszkającego w Barnaule, który na temat ostatnich dni życia zaginionych zebrał bardzo dużo informacji. Niestety chłopaków do dnia dzisiejszego nie odnaleziono.

Nie wykluczone, że wpadli w lodową szczelinę.

Po roku, gdy śniegi zeszyły z dolnych partii gór, ruszyła ich szlakiem wyprawa poszukiwawcza pod kierownictwem Walerego Jakubowskiego naczelnika Górnoałtajskiej Federalnej Służby Ratowniczej. Zaginionych nie odnaleziono.

Korespondujemy z Wojtkiem. Ostatnio przesłał mi swoje obserwacje na temat odradzania się szamanizmu w rejonie świata uważanym za jego kolebkę.

Zinajda uczyła w podstawówce. Mieszka w drewnianym domku na obrzeżach Gornoałtajska, stołecznego i jedyne miasta Republiki Ałtaj, która wchodzi w skład Federacji Rosyjskiej i graniczy z Mongolią, Chinami oraz Kazachstanem. W nielicznych chwilach wolnych od obowiązków pedagogicznych i zajęć domowych szamani. Miejscowi mówią: kamła.

Oddajmy jej głos: *To moje przeznaczenie. O tym, że zostanę szamanką, wiedziałam od dzieciństwa. Miałam niezwykły dar: czułam zapach śmierci, wiedziałam, za kogo wyjdę za mąż. Oświecenie przyszło, gdy przyśnił mi się starzec w bieli. Powracał w moich snach. Mój ojciec był wtedy ciężko chory; uzdrowiłam go. Objawiono mi wiele rzeczy: patrzę na Ziemię jak na istotę składającą się z różnych organów: jej kręgosłup to Rosja, a Ałtaj jest pępowiną. Rzeki, góry i lasy Ałtaju to także jakby rozmaite części ciała. Poznałam swoich przodków. Jestem dwunastą szamanką w moim rodzie. Kiedy nawiedzą mnie wszyscy moi przodkowie, wtedy będę mogła posługiwać się bębniem.*

Mircea Eliade, najznakomitszy badacz szamanizmu, postrzega go jako bardzo złożone zjawisko, zaznaczając jednak, że w ścisłym sensie jest to fenomen syberyjski i środkowoazjatycki, choć istniał m.in. także wśród dawnych ludów europejskich. Szaman potrafi wprawiać się w stan ekstazy, a zdolności te umożliwiają mu magiczny lot, odwiedzanie zaświatów i panowanie nad niektórymi ich mieszkańcami. Dzięki temu może uzdrawiać ludzi, a także pomagać im w rozstrzygnięciu innych ważnych problemów życiowych. Wśród wielu narodów Syberii funkcjonuje instytucja szamana, która na Ałtaju jest szczególnie wyrazista. Istnieją pewne pokrewieństwa technik szamańskich z innymi systemami magii. Niezwykły lot szamana w światy niewidzialne, choć wykonywany na innym, niż fizyczny, planie, przywołuje słuszne skojarzenia z lotniczymi umiejętnościami europejskich czarownic. Bęben szamański jest odpowiednikiem różdżki czarnoksięskiej, więzi też duchy, które średniowieczni demonolodzy próbowali usidlać w kręgach magicznych. Szaman ałtajski należy bez wątpienia do wielkiego bractwa czarowników i magów, jakkolwiek Gandalfa raczej nie przypomina.

*Bęben szamański to wielka odpowiedzialność* - mówi Tamara Michajłowa, dyrektor Instytutu badań Humanistycznych w Gornoałtajsku. - *Kiedyś etnografowie zabrali do Nowosybirsk bęben zmarłego szamana z Kosz Agacz. Ale... brzemień okazało się za ciężkie. Wkrótce zaczęły się przytrafiać im wypadki, które sprawiły, że odwieźli bęben tam, skąd go wzięli. Jednak nikt nie chciał przejąć fatalnego instrumentu. Aż wreszcie zdecydował się na to początkujący szaman, dwudziestopięcioletni chłopak. Nie umiał jednak poradzić sobie z*

*ukrytymi w bębnie mocami i popełnił samobójstwo.*

*Następuje ożywienie bębna. Drzewo, z którego wykonano obręcz, wybrano bardzo starannie - szaman otrzymał ściśle wskazówki od duchów. Przed ścięciem posmarowano je krwią i alkoholem. Teraz na obręcz spływają krople piwa, rozpryskują się na skórze bębna. Skóra poczyzna drgać i rozpoczyna opowieść o swojej przeszłości. Szaman wciela się w łosia, którego skóry użyto do wyrobu bębna, opowiada o jego życiu w tajdze, dzieciństwie i wieku dojrzałym oraz o myśliwym, co pozbawił zwierzę życia. Gardłowy głos raz po raz przechodzi w ryk wydawany przez zranionego byka...*

Geografia ałtajskiego wszechświata jest w zasadzie prosta: istnieją trzy światy — górny, środkowy i dolny. W pierwszym z nich rządzi bóg Ulgen, w drugim żyją ludzie, a trzeci, utożsamiany z piekłem, to dziedzina Erlika. Wyobrażenia tych sfer przedstawiają rysunki na szamańskich bębnach i kostiumach. Tam właśnie wędruje szaman podczas kamłania, najczęściej w pościgu za porwaną przez demony duszą. Postaci duszy u Ałtajczyków jest kilka, a panteon zamieszkujących zaświaty bóstw bardzo liczny. Szaman musi się w nim dobrze orientować, aby pomyślnie stoczyć walkę i odzyskać uprowadzoną duszę. Kiedy zwróci ją właścicielowi, ten będzie uzdrowiony.

Szaman zostaje powołany z woli bogów. Wcześniej, nim dostąpi wtajemniczenia, musi jednak przejść różne próby. Faktycznie przemiana następuje, gdy przysły szaman przeżywa własną śmierć. Leży dwa, trzy dni bez życia, a w tym czasie w zaświatach mijają lata, podczas których poddawany jest niezwykłym procesom. Demony rozrywają jego ciało na strzępy, łamią kości, wylizują mózg, aby potem stworzyć na nowo istotę obdarzoną już nadprzyrodzonym talentem. *Kamłam tylko w określone pory — mówi Zinajda. — Nigdy podczas dni następujących po pełni księżyca i po zachodzie słońca. Zwłaszcza, gdy słońce zachodzi na czerwono. Wtedy otwierają się bramy piekieł. Nie mam jeszcze dość sił, aby przeciwstawić się duchom ciemności. Zresztą, kiedyś one trzymały się daleko od domostw. Teraz bywa, że zbliżają się do ogniska, serca domu i rodziny. Zło tkwiące w ludziach ośmiela demony.* Młoda szamanka rzeczowo opowiada o źródłach swoich umiejętności, które związane są ze szczególną historią ałtajskiego narodu. Do własnej przeszłości Ałtajczycy odnoszą się z wielkim szacunkiem i bardzo dużo na ten temat wiedzą. Za miejsca kultu uważają zespoły kurhanów na południu kraju, choć są one przeważnie pochodzenia scytyjskiego, a znalezione w nich szczątki pod względem antropologicznym niewiele mają wspólnego z rasą ałtajską. Kiedy przed blisko dziesięć laty na płaskowyżu Ukok odkryto wspaniałe zachowaną mumię „ałtajskiej księżniczki” (tataże pokrywające jej ramiona robią naprawdę wielkie wrażenie), natychmiast uznano ją za narodową świętość. Do dziś trwają starania, aby powróciła na Ałtaj z Nowosybirsk, dokąd przewieźli ją uczeni.

*Miota się na niewielkiej przestrzeni pomiędzy widzami w ciężkim kostiumie, obwieszonym kilkunastoma kilogramami metalowych ozdób, a jednak nikogo nie potrąca. Z długiego kaftana spływa mnóstwo chustek i wstążek imitujących węże - jedne są trójgłowe, inne mają rozwidłone ogony. Na plecach podzwaniają miedziane kręgi. Naszyjnik okalają czarne i brązowe pióra sowy. Najdrobniejszy detal szamańskiego stroju ma swoje znaczenie i nie może być pominięty; ten mały łuk z żelaza służy do odstraszenia sług Erlika...*

Kompletne misterium szamańskie w zależności od tego, czy szaman udaje się do piekieł, czy też do górnych światów, przeprowadzane jest w jurcie, albo w brzozowym lesie. Trwa długo. Szaman wymawia blisko sto kilkuzdaniowych formuł magicznych. Naśladuje zachowanie i głosy rozmaitych zwierząt i duchów, nawet pijacką czkawkę diabłów. Niewiarygodne, ale sterani wiekiem szamani zdobywają się na długie akrobacje pantomimiczne, które sprawiłyby kłopot nawet młodym linoskoczkom. Punktem kulminacyjnym jest złożenie ofiary z konia.

Do obrzędu, który przeprowadzała Zinajda, potrzebna była: gałązka jałowca, płachta w jasnym kolorze wielkości prześcieradła oraz nieco rozmaitej żywności: chleb, masło, mleko. Produkty te powinny pochodzić z gospodarstwa petenta; mi pozwolono kupić je w sklepie. Dla uspokojenia złych duchów przydaje się jeszcze alkohol. Ważne, żeby na tych wszystkich przedmiotach pozostawał „astralny ślad” osoby, której pragnie pomóc szamanka. Nie chodzi tu akurat o uzdrowienie z dolegliwości fizycznej; każdy problem jest przecież poniekąd chorobą. Zawieszony materiał był ekranem sprzyjającym koncentracji duchów.

Szamanka z wolna wchodzi w trans. Co jakiś czas sięga po fajkę nabitą zwykłym tytoniem — to pomaga jej skupić się. Nareszcie pada odpowiedź, zdecydowana, jednoznaczna.. Dotyczyła bardzo osobistych spraw...

Na przełęczach ałtajskich, przy źródłach, na wzgórzach rosną tzw. „szamańskie drzewa”. Ich gałęzie zdobią liczne wstążki i skrawki materiału. Wieszają je tubylcy, oddając w ten

sposób hołd duchom przyrody (różne ałtajskie rody wykorzystują do tego odrębne gatunki drzew). Zwyczaj ten naśladują turyści, często bezrozumnie.

*Niektórzy mówią, że czcimy kamienie, drzewa, słowem - martwe fetysze - mówi Siergiej, biznesmen. — Ale czy ty rozmawiając ze mną zwracasz się do mojej powierzchowności, czy też obcujesz z tym, co jest w moim umyśle? Dla jednych istnieją duchy skał lub źródeł, inni w tym wypadku powiadają o szczególnej energii takich miejsc.*

Ałtaj jest krainą niezwykłą: tu zetknęły wpływy pierwotnych wierzeń syberyjskich, buddyźmu (również lamaizmu), islamu i chrześcijaństwa (w wersji nestoriańskiej, staroobrzędowej i prawosławnej).

*Skóra bębna znów zaczyna drgać. Wokół warg szamana zasychają płatki białej piany. Cała postać jest dobrze widoczna, nie ulega jednak wątpliwości, że część jego jestestwa przebywa teraz w miejscach bardzo odległych. Uwięziony na przecięciu różnych rzeczywistości, u zbiegu poznawalnego z niewiadomym, toczy samotną walkę ze straszliwymi mocami. Jakie to siły działają, jakie przebiegają w tym momencie prądy potężne poza granicami świata widzialnego? Tego można się tylko domyślać.*

W ubiegłym roku w auli gornoałtajskiego uniwersytetu miała miejsce konferencja poświęcona zagadnieniom Ak-Tian, białej wiary, czyli odradzających się wierzeń ałtajskich, zwana popularnie konferencją szamanów. Bo też gmach uczelni przypominał wówczas opisywany przez braci Strugackich fantastyczny Instytut Badań Magii i Czarów. Stawili się szamani i szamanki z różnych regionów Ałtaju, a także goście z innych rejonów Syberii. Na mównicę wchodzili na zmianę prelegenci w garniturach i strojach ludowych; słuchano przypowieści. Co jakiś czas stary szaman palił zioła i okadzał słuchaczy, a jednocześnie sprawiał tym, jak się wyraził, przyjemność Duchowi Ałtaju. W pewnej chwili wynikł burzliwy dość spór pomiędzy prezydium konferencji, a grupą z prowincjonalnego Ongudaju, której reprezentantka czytała udzielone jej objawienie, spisane wierszem. Ałtajskie przysłowie powiada, że jeśli się spotyka dwóch Ałtajczyków, to przynajmniej jeden z nich jest poetą. Poemat był zbyt długi, a jego recytacja grubo przekroczyła limit wystąpienia.

O istnieniu Kara-Tian, czyli czarnej wiary, która także ma swoich szamanów, Ałtajczycy mówią niezbyt niechętnie, ale nie zaprzeczają jej istnieniu.

*Głowę ma nadal spuszczoną, mokre włosy przylgnęły do nabrzmiałej żyłami skroni. Spojrzenie spod półprzymkniętych powiek jest błędne i mętne, błędzi gdzieś, najwyraźniej nie widząc zgromadzonych w jurcie. Pozdrowia Erlika, władcę piekielnej krainy: „Kara argymak minitti kara kumdus teżetki, kurdak dietpes beldi, kuczak dietpes mojoyndu...” (Ty, pędzący na czarnym rumaku w czarnym bobrowym płaszczu, z czarnym pasem na lędźwiach, z szyją, której nie można objąć rękoma...)*

*Przy władzy radzieckiej kamłać było niebezpiecznie - opowiada Swietłana, szamanka z Kosz Agacz, jedna z uczestniczek konferencji. Ukrywaliśmy się, spełnialiśmy obrzędy w konspiracji. Teraz, to co innego — władze Republiki Ałtaj przychylnie odnoszą się do wyznawców Ak-Tian.*

W Związku Radzieckim już w latach dwudziestych ubiegłego stulecia przystąpiono do walki z „syberyjskim zabobonem”. Szamaństwo okrzyknięto „hamulcem budowy socjalizmu”, szamanów sadzano do więzień i łagrów.

W latach sześćdziesiątych represje osłabły, ale zdarzało się, że kamłano używając zastępczo bata, bo bęben akurat zarekwirowała milicja. Etnografowie alarmowali, że z roku na rok zanika oryginalny fenomen folklorystyczny. Dziś szamaństwo na Ałtaju ma się dobrze i jak dawniej wokół niego koncentruje się duchowe życie narodu. Chociaż pełne misteria odprawiane są rzadko i raczej bez udziału postronnych widzów, współcześni szamani często uciekają się do innych sposobów przepowiadania przyszłości. Niektóre z nich przypominają zajęcia wróżek, lecz prestiż szamana w społeczności ałtajskiej jest przecież nieporównywalnie większy. W domu Wołodii nad lodówką marki „Mińsk” znajduje się ołtarz domowy — zawieszony na sznurze kolorowe skrawki materiału i gałązki jałowca. To sanktuarium poświęcone przodkom. Pomagają oni gospodarzowi, gdy spełnia obrzęd diarynczy, czyli wróży z łopatki barana. Badając szczeliny lekko opalanej ogniem kości szaman poznaje sekrety tego, co dopiero nastąpi. Wołodia przepowiada także z układu ziaren fasoli. Przebiera nimi niczym sprawny programista obsługujący klawiaturę komputera, grupując w rozmaite koła. Po chwili sytuacja jest jasna, wróżba brzmi niepomyślnie. Zdziwiający jest jednak szczegół związany z problemem, o którym szaman wspomina jakby od niechcenia i... trafia w dziesiątkę. Przecież tego wiedzieć nie mógł! *Mąż pochodzi z szamańskiej rodziny - mówi żona Wołodii. - Jego wujek*

rozmawiał ze zmarłymi. Po zachodzie słońca widział ich dokładnie. Siadali za stołem, a on z nimi długo gawędził. Brrr! — otrząsa się jak na wspomnienie horroru.

Po śmierci szaman, który podróżował do górnego świata, jest szczelnie owijany w skórę losia. Potem jego zwłoki zawisną na gałęziach drzewa, które sam wskazał jeszcze za życia — wyjaśnia Wołodia. „Napowietrzny” sposób grzebania zmarłych w konarach drzew, lub ułożonych nad ziemią ukrytych w wydrążonych kłodach — arangos, opierających się o sterczące nie wykarczowane pnie, jeszcze zupełnie niedawno spotkać można było poza podgórzem Ałtaju i Tuwą u Jakutów, u plemienia myśliwych Gilaków nad Morzem Ochockim i u mieszkańców wygasłego wulkanu na wyspie Bali.

Feliks Kon zesłany za działalność rewolucyjną po odbyciu wielu lat katorgi z zapalem oddawał się badaniom etnograficznym. Był jednym z pierwszych Polaków, którzy pozostawili w literackim dorobku zapisy dotyczące szamanów Syberii. .

Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne dorobek z wyprawy etnograficznej za Sajany politycznego przestępcy, którego od stryczka uratowały wpływy i pieniądze bogatej żydowskiej rodziny z której pochodził nagrodziło złotym medalem. Wyprawę sfinansował i przydzielił do jej ochrony znaczny oddział kozaków carski rząd. Wielka to być może szkoda dla etnografii, że jej szef był zatwardziałym rewolucjonistą stawiającym sobie za cel zmianę porządku społecznego w którym się urodził. Ale chyba nie rozwalenie imperium.

Zdaniem jednego z carów Rosja to nie imperium, to część świata.

Nazwisko Kon, Cohn, Kohn można pisać na wiele sposobów. Rodzina chlubi się starożytnym sięgającym Sumeru rodowodem. Wydała wielu uczonych rabinów, mędrców, profesorów, artystów, polityków. Ludzi ogromnej wiedzy i intelektu. Od wieków wchodzących w skład elit wielu krajów świata. Nie można zakładać, że osobistości kierujące nawą państwową przedrewolucyjnej Rosji to były same durnie i cymbały. W służbie zagranicznej, a nawet wszechwładnej CzeKa, jeszcze przez wiele lat po zwycięstwie rewolucji piastowali najróżniejsze stanowiska nader liczni przedstawiciele minionego systemu.

Warto przyjrzeć się zmianom jakie zachodziły na mapach rosyjsko-chińskiego pogranicza na przestrzeni minionych trzech wieków. Obserwujemy stałą, konsekwentną ekspansję północnego sąsiada. Wszelkie środki są dobre i wszelkie argumenty do wykorzystania. Cel to nie tylko utrzymanie tak długo jak tylko będzie to możliwe w kolonialnej zależności Syberii i Dalekiego Wschodu, ale również dotarcie do brzegów Oceanu Indyjskiego. Darujmy sobie cytaty stosownych dzieł, opracowań i publikacji potwierdzających tą tezę. Zajęłyby zbyt wiele miejsca.

Wielomiesięczna wyprawa oddziału kozaków ochraniających ekspedycję Kona za Sajany do kraju Sojotów była, stosując terminologię prawa międzynarodowego, zbrojnym wtargnięciem i to o setki kilometrów w głąb sąsiedniego państwa. Używanie w tym przypadku określenia, że mamy do czynienia z błahym naruszeniem granicy byłoby nieporozumieniem. Feliks Kon nie posiadał naukowego przygotowania do przeprowadzania badań etnograficznych. Zdecydowano jednak właśnie jemu powierzyć realizację trudnego zadania. Musiał już wówczas być człowiekiem, któremu się ufa, który nie zawiedzie, i który potrafi zachować należną dyskrecję. Potrzebną, gdy ma się do czynienia ze strategicznym rozpoznaniem dość dużego terytorium, na które carska Rosja ostrzyła zęby. Wojska rosyjskie rozpoczęły zajmowanie dzisiejszej Republiki Tuwa niespełna dziesięć lat po zakończeniu jego ekspedycji. Obszar Kraju Urianchajskiego był prawie tej samej wielkości, co powierzchnia zaboru naszego kraju przez ZSRR w 1939 roku

Pełny tekst raportu, jaki sporządził Feliks Kon z tej wyprawy, nigdy nie został i prawdopodobnie nie zostanie opublikowany. W archiwach Wielkiej Brytanii też są zapisy dotyczące wydarzeń w Polsce w okresie II wojny światowej, które nie mogą zostać ujawnione, pomimo upływu już więcej niż pół wieku od jej zakończenia.

W 1908 roku, pięć lat po powrocie z chińskiego pogranicza razem z dr. Hermanem Diamantem, dr. Feliksem Perlem, dr. Emilem Bobrowskim i Stanisławem Żmigrodzkiem, jest członkiem Sądu Obywatelskiego nad wybitnym krytykiem literackim, oskarżanym o współpracę z carską Ochroną, Stanisławem Brzozowskim. Proces odbywał się w Krakowie. Stefan Żeromski, uczestnik procesu, dobry znajomy i rówieśnik Feliksa Kona, tak go wówczas zapamiętał: *Postać, wywiędła, zniszczona, człowiek jakby ze mgły, o twarzy sympatycznej nerwowego utopisty, bohater warszawskiego Proletariatu. Jeden z tych, których dumne cienie w kajdanach widywało się na zbiorowej fotografii „proletaryatczyków” w izbach socjalistów.*

Dla całej polskiej inteligencji, która w ogromnej większości poczynając od autora *Ludzi Bezdomych* solidaryzowała się z obwinionym, uważając go za swego duchowego przywódcę,



sprawa nie została rozstrzygnięta. Zaszczuty Brzozowski zmarł na gruźlicę. Po kilkadziesiąt lat w wydanych w 1936 r. po rosyjsku wspomnieniach *ZA PIĘTDESIAT LET* mieszkający już do końca życia w Moskwie Feliks Kon wraca do tamtej sprawy twierdząc, że wprawdzie wielbiciele talentu Brzozowskiego nazywali go "**polskim Michajłowskim**", ale że miał w ręku dokumenty potwierdzające przesyłanie przez niego raportów o ruchu rewolucyjnym do departamentu policji. (*NARODZINY WIEKU*, str.540, Wyd. Książka i Wiedza, 1969).

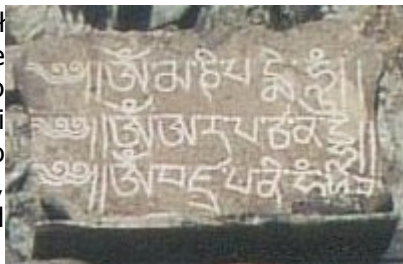
Na przełomie wieku Feliks Kon był człowiekiem godnym zaufania dla elit kierujących polityką zagraniczną imperium, które obejmowało obszar 1/6 kuli ziemskiej. Pozostał nim również dla elit, które wyniosła do władzy Rewolucja Październikowa, skoro on głównie negocjował ze sztabem generalnym wilhelmowskich Niemiec warunki przejazdu w zaplombowanym wagonie Lenina wraz ze świtą, zmierzającego już wówczas do objęcia władzy w Petersburgu. Na parę lat późniejszym zdjęciu widzimy starszego pana w kraciastej maciejówce obok Juliana Marchlewskiego i Feliksa Dzierżyńskiego w centrum zbiorowego zdjęcia członków Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego armii najeźdźców własnej ojczyzny. Renegat? Bez wątpliwości. Ale tylko w niewiele większym stopniu niż uważany za jednego z ojców narodu kanadyjskiego Kazimierz Gzowski, Zbigniew Brzeziński czy jeden z byłych członków rządu francuskiej republiki noszący nazwisko ostatniego króla Polski.

Na plebani w Wyszku zjawił się luksusowym samochodem. Lenin też jeździł tylko rolls roysami. W pisanej z charakterystycznym dla tamtych lat patosem broszurze ubolewał nad oddawaniem praniemieckiego Śląska i Gdańska pod władanie polskich panów i burżujów. To już nie było chwilowe zuroczenie rewolucyjnymi ideami. To była służba. Służba interesom imperium ze stolicą w Moskwie, rozpoczęta wywiadowczym rekonesansem do Urianchajskiego Kraju.

Głębokie, wszechstronne rozpoznanie terenów, które zamierzano objąć w posiadanie, podbić, opanować, przeprowadzano pod pretekstem działalności handlowej, misyjnej, naukowej, a nawet pomocy charytatywnej, czy wyjazdów na artystyczne plenery. Nie tylko dzieje powszechne dostarczają w tym zakresie bardzo wiele przykładów. Carski rząd finansował wyprawę Kona, ale finansował również podróże po Hindukuszu i Kuen-Luń generała Bronisława Grąbczewskiego oraz konny przejazd przez Chiny Karola Gustawa Mannerhaima, późniejszego marszałka Finlandii, należącego do rodu bałtyckich baronów od pokoleń oddanie służących rosyjskim carom.

Zaledwie parę lat po dojściu do władzy, bolszewicy w roku rozpoczynającej się klęski głodu na Powołżu znaleźli środki na sfinansowanie i wyekwipowanie kilkunastomiesięcznej niezwykle licznej ekspedycji ...malarza, Mikołaja Rericha wraz z bratem i małżonką do Mongolii, Sinkiangu i Tybetu. Większość powstałych wówczas obrazów bardzo szybko znalazła się w muzeach. Szczegółowe raporty z wyprawy, z których nie tylko analitycy służb specjalnych łatwo się zorientować mogą, co tak naprawdę interesowało rodzinną ekspedycję, w ostatecznej wersji opublikowano dopiero po ostatecznym rozpadzie Związku Radzieckiego. Dotyczyło to nie tylko informacji o znalezieniu w jednym z lamajskich klasztorów Ladakhu manuskryptów potwierdzających pobyt w Himalajach Jezusa Chrystusa. Czy Mikołaj Rerich skorzystał w tym zakresie z informacji zawartych w wydanej w 1893 roku w Paryżu książce polskiego dziennikarza Mikołaja Niwińskiego, czy też sam je uzyskał, nie jest sprawą najistotniejszą. Zastanawia zupełnie co innego. Częstotliwość pojawiania się w dzienniku jego podróży po górskich pustkowiach Centralnej Azji, które jeszcze w początkach ubiegłego wieku w szkolnych atlasach oznaczano białymi plamami, nazwy [Szambala](#). Mityczna stolica mitycznego podziemnego królestwa Agharta.

Można już dziś postawić trudną do obalenia tezę, że to był właśnie cel poszukiwań. Ośrodek i centrum dyspozycyjne tajemniczej władzy, nawet jeśli już nie istniała, to na pewno działała na wyobraźnię i emocje setek milionów ludzi w tej części świata. Przywódcy czerwonego imperium szykowali się do opanowania całego świata. Podbój zamierzali rozpocząć od Indii, Mongolii i Chin. Zamysł był w trakcie realizacji. Początki nad wyraz obiecujące.



Geopolityczne pryncypia Moskwy są niezmiennie od co najmniej 4 wieków.

Czy Szambali również poszukiwał Jezus, jak twierdzą niektórzy buddyjscy uczeni, nie wiadomo. Należałoby przeprowadzić dokładną kwerendę w klasztorach bibliotekach podniebego królestwa ze stolicą w Leh. Graniczy z hinduskim Kaszmiem na znajdującej się

na poziomie 6 tys. m. n.p.m przełęczy. Niezależnie jak by nie oceniać późniejszych poczynąń i działalności Feliksa Kona i Antoniego Ferdynanda Ossendowskiego, obaj dotarli do miejsca od dziesiątków pokoleń mieszkańców Azji uważanego za Wrota Agharty. Jest wysoce prawdopodobne, że mieli cele niezwykle zbieżne ze zleceniem jakie otrzymał od bolszewickich przywódców mason, filozof i komunista Mikołaj Rerich. Ale to już jest zupełnie inna historia.

Zobacz także te strony:

[Biologia przekonań](#)

[Neandertalskie chabry. O religii, pożądaniu i narkotykach](#)

[Światelko w tunelu, porwania i inne omamy](#)

[Reinkarnacja, szamani i psychologowie](#)

#### **Witold Stanisław Michałowski**

Pisarz, podróżnik, niezależny publicysta, inżynier pracujący przez wiele lat w Kanadzie przy budowie rurociągów, b. doradca Sejmowej Komisji Gospodarki, b. Pełnomocnik Ministra Ochrony Środowiska ZNiL ds. Międzynarodowego Rezerwatu Biosfery Karpat Wschodnich; p.o. Prezes Polskiego Stowarzyszenia Budowniczych Rurociągów; członek Polskiego Komitetu FSNT ds. Gospodarki Energetycznej; Redaktor Naczelny Kwartalnika "Rurociągi". Globtrotter wyróżniony (wraz z P. Malczewskim) w "Kolosach 2000" za dotarcie do kraju Urianchajskiego w środkowej Azji i powtórzenie trasy wyprawy Ossendowskiego. Warto też odnotować, że W.S.M. w roku 1959 na Politechnice Warszawskiej założył Koło Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli. [Więcej informacji o autorze](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 01-06-2005)

[Oryginał.](#) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,4160>)

Contents Copyright © 2000-2008 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane

w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora.

Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych

niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do [redakcja@racjonalista.pl](mailto:redakcja@racjonalista.pl)